TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 41. *Chicago, Ills., 8 Kwietnia, 1886 r.* Rok II.

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO

CZĘŚĆ DRUGA:

KWIAT ALOESU.

(Ciąg dalszy.)

Pułkownikowa i dozorczynie z największą wściekłością wyszły z komnaty. Ledwie się oddaliły, młoda sierota zbliżyła się do mamki i rzekła:

— Nie mam wiele powodów wdzięczności dla ciebie, ale dziękuję ci, żeś mnie przynajmniej ochroniła od ich zniewagi i obiecała nadal bronić. O, Zaro! dla czego nie chcesz raz wejść stanowczo na drogę żalu i poprawy? Ocal mnie przed Miranem i jego nieszczęsną miłością! Ocal mnie od tego losu, a zapomnę o wszystkiem, coś mi złego wyrządziła! będę cię błogosławić i kochać jak dawniej!

Indyanka nie odrzekła słowa i usiadła na usłanych na ziemi poduszkach.

— Czy już nie czujesz litości i przywiązania dla twej wychowanki, którą karmiłaś twemi piersiami? Czy powrócenie ci mego zaufania i serdeczności nie wynagrodzi cię za gniew Mirana? czyż nie doznasz sama w sobie zadowolenia, idąc za prawym głosem sumienia?

— Daj mi pokój! — mruknęła ayah ponuro. — Indyanka dała słowo. Umarłaby raczej, niżby go złamać miała!

— Bóg więc jedyną moją ucieczką! — po-

myślała Ellena, — straciłam ostatnią nadzieję tu na ziemi.

Nazajutrz bardzo rano domownicy zeszli się we wspólnej sali; wszyscy mieli bardzo zafrasowaną minę. Każdy znalazł coś do opowiedzenia z powodu jakiegoś zjawiska, które im sen przerwało.

Z tych rozlicznych opowiadań pokazało się, że przestraszeni szmerem jakiegoś chodu ciężkiego w długim ciemnym korytarzu, dokąd wychodziły drzwi izb oddzielnych, lękliwe rzucili spojrzenie, i postrzegli jakieś widmo dziwaczne, mające głowę w liście i kwiaty przystrojoną, jak przechadzało się wzdłuż od jednego do drugiego końca korytarza.

Jeden z lokajów opowiadał, że widmo to mówiło coś o krwi, wyraźnie bowiem posłyszał te słowa.

To co mówiły obie dozorczynie obłąkanych, jeszcze straszniejszem było: tajemniczy ów gość wszedł do ich izby, chociaż wedle ich zapewnienia, zamknęły drzwi na dwa spusty, i po kilka razy kiwał na nie ręką, by szły za nim. Postanowiły uciec z Opactwa, ich nerwy bowiem nie potrafiłyby więcej znieść podobnie straszliwych widziadeł.

— Co do mnie, — odezwał się Tom który słyszał wyraz „krew" przez upiora wymówiony, — chociaż bardzo poważam milady, która umie ocenić poufnego sługę, jednak odejdę.

W tem usłyszano gwałtowne szarpnięcie dzwonka w pokoju lady Mowbray.

Pułkownikowa sypiała w komnacie zajmowanej poprzednio przez zamordowanego baroneta. Wachano się, czy pójść na to wezwanie.

— Niech Pan Bóg raczy nas mieć w swojej opiece! — zawołała jedna z dozorczyń. — Może to ta czarownica ją dusi!

— Ona taka złośnica zawzięta, że gotowa to uczynić! — dodała druga.

Ten domysł, który im się wydał bardzo prawdopodobny, zachęcił ich nareszcie pójść zobaczyć co się tam stało.

Wszyscy czworo rzucili się społem ku drzwiom pokoju pułkownikowej, żadne z nich nie byłoby się odważyło pójść samo... Właśnie jak przybyli na korytarz, gdy dzwonek dał się słyszeć po raz trzeci.

Barbara Botch, starsza z dwóch służebnych niewiast, z odwagą zaczerpniętą niezawodnie w porannym kieliszku, który niedawno wychyliła, zapukała do drzwi.

— Wejdźcie! — zawołano ze środka.

Usłyszeli odsunięcie rygla i obie kobiety weszły do sypialni. Zastały lady Mowbray mocno zmięszaną, siedzącą na łóżku; twarz miała trupiej bladości, i obłąkanym wzrokiem wodziła dokoła komnaty.

— Przetrząsajcie w tym pokoju! — odezwała się konającym głosem, — ktoś tu się ukrył.

Służebne spełniły ten rozkaz; nie opuściły namniejszej framugi, gabinetu do ubierania się, ale nikogo nie znalazły. Okna były pozamykane, a nie było widać innego wyjścia, prócz tych podwoi, któremi same weszły.

— Tu nie ma nikogo, — rzekła Barbara Botch.

— Czy pani go widziała? — zapytała druga.

— Kogo czym widziała?

— Starca jakiegoś, niby świeżo z grobu wychodzącego, tak oblicze jego strasznie blade, a głowa uwieńczona liśćmi i kwiatami. O mało nie oszalałyśmy z przestrachu! Pewna jestem, że to duchy chodzą po tym zamczysku!

— Duchy! — powtórzyła milady, — śmieszna jesteś! Istotnie wszedł do mego pokoju człowiek taki, jak go opisujesz i jęczał, stanąwszy przy rogu mego łóżka. Nawet posunął zuchwalstwo do tego stopnia, że pociągnął za kołdrę, jakby chciał mnie obudzić, i dawał mi znak, abym poszła za nim; ale jestem przekonana, że to był człowiek żyjący!...

Dozorczynie kręciły głową z niedowierzaniem.

— Jakżeby mógł wejść, milady? — zapytała Barbara.

— Którędyby wyszedł! — dodała jej towarzyszka. — Rygiel był zasunięty kiedyśmy pukały, a okna jeszcze są pozamykane.

Właśnie też pułkownikowa pragnęła o tem się dowiedzieć. Zarzuciła spiesznie poranne okrycie, wstała z łóżka i zwiedziła troskliwie wszystkie kąty mieszkania. Przeglądała szafy i kryjówki, nawet pukała w ściany dla zbadania, czy się nie otwierają, ale te wydawały się grube i nieruchome.

— To prawdziwie rzecz trudna do pojęcia! — rzekła skwaszona.

Służebne znajdowały, że to coś strasznego.

— Obiorę inny pokój na sypialnię! — powiedziała po niejakim namyśle.

Dozorczynie były mniemania, że ta przezorność na nic się nie przyda; opowiedziały jej, jak w nocy to samo zjawisko je przestraszyło, i zakończyły jednozgodnem życzeniem aby je odesłano z zamku.

Rozumowania i namowy pułkownikowej, oraz obietnica znacznego wynagrodzenia, zaledwo je skłoniła do pozostania nadal.

Lady Mowbray zatrzymała je koło siebie pod pozorem pomagania jej w ubieraniu; ta przygoda silniejsze na niej sprawiła wrażenie, niż to przyznać chciała. Gorąco pragnęła przybycia swego męża i Mirana; lękała się bowiem, aby druga noc podobna nie skłoniła do ucieczki całą służbę żeńską i męzką, w skutek czego musiałaby sama pozostać z Elleną i Indyanką; tej zaś nie ufała już wcale.

Rozkazała, aby drzwi wszelkie były szczelnie pozamykane, oraz aby nie otwierano okien, ażeby w razie, gdyby jaki wieśniak przez park przechodził, nie domyślał się, że Opactwo mieści w sobie mieszkańców. Ta przezorność była rzewiście zbyteczną, bo od czasu morderstwa dokonanego na baronecie, nikt nie lubił zbliżać się do ponurego i opustoszałego gmachu.

Ellena nie mogąc zasnąć, dręczona smutnemi myślami, miała także odwiedziny osobliwszego widziadła. Ta sama postać ukazała się jej w nocy, stanęła u stóp jej łóżka i skinieniem wzywała, aby poszła za nią. Z razu mniemała, sobie, że ono do starego Marcina było podobne. Wtedy zaczęła sobie gorzkie czynić wyrzuty, że nie usłuchała tego niemego wezwania; może byłaby wolność odzyskała. Najmocniej zaś to ją zdziwiło, że mamka, której sen zwykle tak był lekki, iż najmniejszy szmer dostateczny był do zbudzenia jej, nie ruszyła się nawet. Zdawałoby się, że czar jakiś ją owładnął.

Przy blasku księżyca, który oświecał część starożytnej, dębową rzeźbę wykładanej komnaty, sierota postrzegła coś lśniącego na ziemi, obok wezgłowia, gdzie spoczywała jej wiarołomna piastunka. Poznała długi, ostry puginał, który Zara zwykle przy sobie nosiła, jak to bywa w używaniu u kobiet indyjskich. Wyskoczyła ukradkiem z łóżka i schwyciła skwapliwie sztylet, a owinąwszy go potem chusteczką, ukryła go na łonie. W tej chwili błogi jakiś spokój rozlał się w jej duszy. Zdawało się jej, że odtąd jest już panią swego losu. Myśl o Miranie i jego szalonej miłości nie była więcej dla niej straszną. Czuła, że teraz żadna potęga jej prześladowców nie zdoła ją zmusić do złamania wiary narzeczonemu, postanowiła bowiem zabić się prędzej, niż należeć do kogo innego prócz Henryka Ashton.

W dworku Home-Farm smutne także przez ten czas nastały zmiany. Wprawdzie Maciej Ashton orał jeszcze i zasiewał swoje pola, a szczęście i urodzaj ciągle mu sprzyjały, lecz serce mu się ściskało na myśl, że praca jego jest bez celu; tak mu się zdawało od czasu, jak wyjechał Henryk. Żona jego bardziej jeszcze się zmieniła, niz stary gospodarz: humor jej zrobił się kwaśny i dziwaczny, zrzędziła ustawicznie na sługi. Zaniedbywała mleczarnię niegdyś wzorową w całej okolicy; masło, które na targ wysyłała, nie było już tak skrzętnie doglądane, jak dawniej.

— Na co się przyda pracować i zbierać, kiedyśmy już tak bliscy grobu? — mawiała nieraz zniechęcona, — nigdy już Harry nie przyjdzie rozweselić ścian naszego domku, ani zbierać owoców naszych trudów.

Słowa te zazwyczaj zwracała do męża, który je zbywał milczeniem, mocniej tylko pociągając dym ze swej lulki.

Jednego poranku, właśnie po owej nocnej przygodzie, co tak zastraszyła nielicznych przybyszów w Carrow-Abbey, starzy małżonkowie Ashton siedzieli przy śniadaniu, kiedy weszła służąca z oznajmieniem, iż zakrystyan pragnie widzieć się z panem Maciejem.

— Zakrystyan! — zawołała staruszka w złym humorze, — czegóż on może potrzebować? Przecież tu nikt nie umarł w domu, niech sobie idzie zkąd przyszedł!

Ale gospodarz innego był zdania, i kazał wprowadzić dziwacznego starca; ciekawość jego bowiem była obudzona. Należało to do wydarzeń nadzwyczajnych, aby Chettleborough kogo odwiedził. Rzadko spotykać go można było po za obrębem cmentarza; zdawałoby się, że tam tylko swobodnie oddychał. Znał daleko lepiej kamienne nagrobki, niż sąsiadów ze wsi, i widocznie towarzystwo nieboszczyków przekładał nad żyjących.

Na widok słusznej i chudej postawy grabarza do izby wchodzącego, mistress Ashton pomyślała w duchu, że nigdy brzydszego człowieka nie widziała.

— Przyszedłem zobaczyć się z wami, gospodarzu, — przemówił wchodzący, — czuję bowiem, że mi coś cięży na myśli, czegoś mi nie dostaje...

— Lepiej byłoby może udać się do doktora, — przerwała gospodyni.

— Nie zrozumiałaś co chce powiedzieć, — odparł jej mąż. — Coś się musiało wydarzyć, co go niepokoi!

— Istotnie, tak strasznie wygląda, jakby upiora widział, — mruknęła sędziwa pani domu. — Przecież powinien się był już do tego przyzwyczaić.

Chettleborough mieszkał w rogu cmentarza, w domku samotnie stojącym.

— Cóż się stało, panie zakrystyanie? — zapytał stary Ashton, — czy może co takiego co się tyczy Marcina?

Chettleborough skinął głową na znak potwierdzenia?

— Gadajże człowieku, co się stało?

— Nie mogę teraz.

— A to z jakiej przyczyny?

Chettleborough wskazał na gospodynię.

— Nie zwykłem mówić w obec kobiet, — odezwał się.

Czytelniczki nasze przyznają niezawodnie, że podobna niegrzeczność była dostateczną, aby przywieść do ostateczności cierpliwość najłagodniejszej z istot, do płci pięknej należących. Nie wiem czy mistress Ashton mogła właśnie rościć sobie prawo do przymiotnika łagodnej i cierpliwej, bo mruknęła kilka słów gniewnie, między któremi wyraźnie dosłyszeć można było wyraz: stary niedźwiedź!

Gospodarz wziął kapelusz, i zaprosił gościa, by mu towarzyszył do ogródka przed domem leżącego. Gdy stanęli pod drzewem morwowem, w około którego ustawiono szeregiem kilka ulów; Chettleborough zatrzymał się i przemówił:

— Sir William nie żyje; rektora nie ma w domu, master Harry i Joe Beans Bóg wie dokąd poszli, tobie więc, jako najmędrszemu w parafii, przychodzę powiedzieć, że obcy ludzie są w Opactwie.

— Co mówisz, to być nie może! — zawołał Maciej Ashton.

— Widział ich stary Marcin.

— Jakimże sposobem mógł się tam dostać?

— A, o to nie potrzeba być w kłopocie. Kilkakrotnie oddalił się z mego domu, alem był o niego spokojny; bom wiedział gdzie się obraca. Dziś rano wrócił po dłuższej niż zwykle niebytności, i odtąd ciągle rozpowiada o miss Ellenie i o jakiejś czarnej kobiecie. Wierzcie mi, gospodarzu, ja się nie mylę, w zamku dzieją się jakieś matactwa!

— Trzeba będzie nad tem czuwać, — rzekł wuj naszego bohatera, namyślając się nad tem co słyszał. — Jeżeli miss Ellena w zamku się znajduje, to z pewnością knują tam jakieś łotrostwa. Będziemy się mieć na baczności!...

XX.

Większą część następnej nocy, po widzeniu się przebiegłym ajentem Miran-Hafaza, Will przepędził na piłowaniu zasuwki w zamku swego więzienia. Gdy dnieć poczynało, połowa roboty była już prawie ukończoną.

Chociaż nie było niebezpieczeństwa aby odkryto tę sprawkę, bo przy drzwiach otwartych nie można było dostrzedz śladu najmniejszego, więzień wolał pozostać w kaźni przez dzień cały pod pozorem lekkiej słabości, w celu przeszkodzenia, aby przecież kto nie wyśledził tego usiłowania, zdradzającego zamiar ucieczki.

Jeszcze wcześnie było z rana, kiedy dozorca wszedł do kaźni Sidelera prowadząc ajenta Mirana. Więzień przywitał się skwapliwie z mniemanym ojcem, i rozpoczęto znowu bezbożną komedyę modlitw i nauk religijnych jak dnia poprzedniego, z równie pomyślnym skutkiem.

— Jakże idzie robota? — zapytał z cicha pan Dawids.

— Wyśmienicie; zasuwka do połowy już przepiłowana.

— Staraj się ukończyć jutro, gdyż obiecałem temu co się tobą zajmuje, że będziesz wolny pojutrze.

— Potrzebowałbym oliwy.

Przezorny Dawids wręczył mu flaszeczkę, w której zawierać się mogło kilka uncyi i rzekł:

— Przeczytaj papier otaczający flaszeczkę i spełnij dosłownie instrukcye skreślone przezemnie; pamiętaj oraz, że nie można wyjść z kaźni pierwej, aż naczelny zarządzca odbędzie swój

wykły przegląd, który powszednie robi o jedenastej godzinie przed północą.

— Rozumiem.

— Ile też czasu potrzebowałbyś do przepiłowania kraty u okna?

— Przynajmniej całą godzinę.

Namyślawszy się kilka chwil, szanowny pan Dawids powiedział mu, że skoro uderzy pierwsza godzina na wieży blizkiego kościoła, oczekujący go zewnątrz więzienia przyjaciele, rzucą mu na dziedziniec kłębek szpagatu; tym sposobem będzie mógł przyciągnąć do siebie sznur z węzłami, rodzaj drabinki, celem dostania się przez mur podwórza na wolność.

Kiedy stroskany staruszek, pożegnawszy się z mniemanym synem, przechodził z dozorcą przez podwórze więzienne, spotkał ich Mike, a oczy jego zaiskrzyły się wyrazem ciekawości. Wszelako był tak ostrożny, że nie zadał żadnych pytań, póki przybyły nie opuścił zabudowania Newgate.

Wieczorem, paląc fajkę w budce odźwiernego, zapytał tego samego dozorcę, który odprowadzał z rana obcego starca, ktoby on był?

— To ojciec jednego z uwięzionych — odpowiedział dozorca obojętnie.

— Czy nie Willa Sidelera — zapytał Mike.

Dozorca kiwnął głową.

— Czy często go odwiedzał?

— Dwa razy; wczoraj i dzisiaj.

— Bez wątpienia zostawałeś z nimi w kaźni przez cały czas, wedle przepisów twego urzędowania?

— To się rozumie! — odparł dozorca.

Mike wiedział dobrze, że dozorca kłamie, ale tego mu nie powiedział.

— Powinienbyś posłuchać kiedy jego kazania, zbudowałbyś się; — mówił dalej stróż więzienny.

— A tyś go słyszał? — zapytał Mike.

— A jakżebym inaczej wiedział o tem?

To dostatecznem było dla zagadkowego starca, nie rozpytywał się więcej. Poznał Dawidsa pomimo przebrania jego, bo już niejedną z sobą mieli sprawę. Był przekonany, że jego pokrewieństwo z więźniem było zmyślonem, i trudno mu było domyśleć się celu jego wizyt.

— Nie dopuszczę tego! — mówił sam do siebie. — Postanowiłem, że ten dureń musi wisieć, i stanie się jak pragnę; nie dam mu uciec. Ale muszę dobrze pilnować. On mógłby umknąć przed szubienicą! o nie! ja go nauczę, co to jest ubliżać mi!

Ucieczka Will Sidelera pozbawiłaby dziesięciu gwineów kata przyjaciela jego, a Mike bardzo dbał o korzyści kochanego Mata Cowls; tak się nazywał wykonawca ostatecznych wyroków sądowych.

Następnej nocy Will zajmował się znowu przepiłowaniem do reszty zasówki u drzwi swej kaźni.

XXI.

Zarządzca, czyli inaczej zwany gubernator Newgate, odbył swoim zwyczajem przegląd więźniów o oznaczonej godzinie i wszystko pogrążone było w zupełnej ciszy, gdy Will Sideler, ukończywszy przepiłowanie zamku we drzwiach, bosemi nogami skradał się wzdłuż korytarza, którego drzwi grubemi drągami żelaznemi na noc się zasuwały.

Po kilku bezskuteeznych usiłowaniach, udało się nareszcie więźniowi spiąć na okno kratami opatrzone, które było jedynym otworem, aby się dostać na dziedziniec.

Na szczęście dla niego, rdza przeżarła już mocno stare pręty żelazne, nie wiele zatem czasu potrzebował, aby je przepiłować.

Z drugiej strony drzwi, niedaleko okna, przyczajony człowiek podsłuchiwał bacznie najmniejszy szelest. Tarcie piłeczki o kratę jakkolwiek zręcznie przygłuszane, wydawało jednak rodzaj zgrzytania, co nie uszło czujnego ucha tego, który tak przezornie szpiegował naszego więźnia. Potrzebaż mówić, że to był stary Mike, czuwający jak wyżeł?

— Piłuj, piłuj! — szepnął sam do siebie, uśmiechając się złośliwie, — nie umkniesz mi! to będzie wybornie zajrzeć mu w oczy, gdy się dowie, kto jestem rzeczywiście! Ale nie chcę go jeszcze złapać... W chwili ucieczki, gdy serce jego skakać będzie w piersi z radośnej nadziei oswobodzenia, będę miał dosyć czasu!

Było coś szatańskiego w tem rozumowaniu starca. Samotne jego życie, oddzielone od reszty ludzi, natchnęło go jakimś rodzajem pewności siebie, piekielnego szyderstwa z uczuć, któremi się jego bliźni powodowali, a które nie miały prawdopodobnie odgłosu w jego sercu.

Wydobywszy z zanadrza pistolet dla przekonania się, czy zapał w dobrym jest stanie, Mike oddalił się cichutko, przeszedł dziedziniec i ukrył się w kącie otworzonym przez mur sali wspólnej i kaźni więźniów. Księżyc oświecał bruk podwórza tak jasno, że szczur nie byłby przebiegł niespostrzeżony, cień zaś panujący w tem miejscu, gdzie się zaczaił, dozwolił mu być zupełnie ukrytym dla najbystrzejszego oka.

Kiedy tak czatował w swoim kącie, jak tygrys oczekujący chwili rzucenia się na swoją zdobycz, zegar najbliższej świątyni uderzył trzy kwadranse po północy.

W kilka minut później zjawił się Sideler, krocząc przez podwórze i zbliżył się do muru. Obuwie miał przywiązane na chustce około szyi.

— Ciekaw jestem, — pomyślał Mike, — jak potrafi przez mur się przedrzeć? Czy sądzi głupiec, że przeleci? Ale cóż on teraz robi... Jeszcze zawcześnie na modlitwę!

Zbójca ukląkł na jedno kolano, aby wdziać trzewiki. Ztąd ta omyłka ukrytego świadka, przypatrującego się bacznie wszystkim jego ruchom.

Chudy starzec niedługo czekać potrzebował, bo w chwili, kiedy więzień powstał z ziemi, wybiła godzina. Jeszcze nie przebrzmiał dźwięk spiżu, gdy kłębek obwinięty w papier dla przytłumienia łoskotu w chwili spadnięcia, rzucony został z poza muru; szpagat był doń przywiązany.

Szpieg ukryty uśmiechnął się. Przekonał się, że jego podejrzenia sprawdziły się; więzień miał wspólników do ułatwienia mu ucieczki.

Sideler zaczął ciągnąć szpagat i w krótce przyciągnął do siebie drabinkę ze sznurów.

Szarpnąwszy ją kilkakrotnie, dla zapewnienia się czy silnie przymocowana, zaczął się wspinać po niej do góry. Zaledwie podniósł się ponad ziemią, gdy ręka lodowata ścisnęła go za szyję i głos jakiś szepnął mu, by zszedł na dół.

Za chwilę Sideler stał przed Mikem, który nie przestawał trzymać go silnie za szyję i groził mu swym pistoletem.

— Mike! tyżeś to? — wyjąknął nieszczęśliwy więzień.

— Tak mi się zdaje, na honor! — odparł Mike głosem szyderskim.

— Przecież mnie nie zechcesz wstrzymywać?

— Owszem, myślę ci przeszkodzić w zamiarze umknięcia.

Ja mniemałem, żeśmy z sobą w przyjaźni?

— Istotnie, sprzyjam ci... właśnie z powodu, żem twój przyjaciel, nie chciałbym cię tak rychło utracić... Muszę ci powiedzieć otwarcie, żeś sobie niegodziwie względem mnie postąpił!

— Ja, względem ciebie, a to jakim sposobem?

— Tak jest, ty chciałeś mnie okraść!.. pozbawić zarobku!

— A to kiedy? — zapytał królikarz coraz bardziej zdumiony, — nie rozumiem, co chcesz odemnie?

— Zaraz to pojmiesz; tylko się tak nie spiesz.

— Jakimże sposobem ucieczka moja może ci zarobek odebrać?

— Oto pozbawiłbyś mnie dziesięciu gwineów... nie licząc w to odzieży, która warta zawsze dwa funty szterlingów, jak jeden szeląg; co razem wynosi całkowitych dwanaście funtów szterlingów i dziesięć szylingów.

Zimny pot wystąpił na twarz obłąkaną więźnia; okropny domysł zaczął go dręczyć.

— Ty jesteś może! — zawołał drżąc ze wstrętu i przerażenia, — ty jesteś zapewne...

Nie mógł domówić. Gardło mu się ściskało, język kołowaciał w gębie.

— Istotnie tak, — rzekł Mike, — jestem kat, Mat Cowls... Poznałeś mnie przecież; a więc, nie możesz chcieć złupić mnie biednego, odbierając co mi się słusznie należy! Nie jesteś zapewne tak szalony, abyś to myślał uczynić!

Mówiąc te słowa, patrzał w oczy swej struchlałej ofiary w jego ręku. Śmiał się radośnie, czując pod palcami drganie przebiegające żelazne ciało barczystego więźnia.

Wtem ruszył się sznur, służący zamiast drabinki, szarpnięty przez przyjaciół Sidelera z przeciwnej strony muru; niecierpliwili się tą niepojętą zwłoką.

— Ja ci dam tych dziesięć gwineów, — przemówił zbójca usiłując odzyskać przytomność i zimną krew.

— Zapominasz o sukniach, — rzekł Mike obojętnie.

— Dam ci dwanaście!

— A nie liczysz tego, że mógłbym być oszu-

kanym, gdybyś nie dotrzymał przyrzeczenia, albo gdyby się wydało, że nie przeszkodziłem twej ucieczce?

— Pięćdziesiąt! — dodał więzień, którego trwoga coraz bardziej się wzmagała.

— A nie mówiłem jeszcze o zrzeczeniu się tej przyjemności powieszenia chłopa tak kształtnej i silnej budowy, — mruknął kat.

— Co powiesz na to, jak ci dam sto funtów szterlingów?

— To mało!

— A więc wszystko co posiadam!

— Nie znęci mnie, — odparł Mike stanowczo, choć może chęć znacznego zysku staczała w nim walkę z tem postanowieniem. — Bardzo rzadko zdarza się, abym sobie jaką rozkosz sprawił; ale jeżeli czasem zechce mi się koniecznie jakiej przyjemności, nie dbam wtedy ileby kosztowała. Jeżeli się ruszysz, jeżeli najmniejszy opór stawiać będziesz, — dodał widząc, że łotr w rozpaczy swojej zaczynał czerpać nowej odwagi — zapewniam, że ci w łeb strzelę.

— Wole to, niż stryczek!

I nagłem pchnięciem wytrącił mu pistolet z ręki. Skoro Mike został rozbrojony, rzecz cała inną przybrała postać; kat był teraz na łaskę zdany, człowiekowi, również jak on nieubłaganemu.

— Gwałtu! ratujcie! — zawołał.

Silnie wymierzonym ciosem w skroń obalił Sideler przeciwnika na ziemię. W jednej chwili schwycił go za gardło i powlókł w ciemny kąt dziedzińca.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DWIE MARYE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW POLSKICH

PRZEZ

FR. XAW. TUCZYŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Natura ludzka tak w chorobie, jak i we wszystkich przeciwnościach, dochodzi do pewnego przesilenia. Skoro człowiek wszelkiemi sposobami, danemi od Opatrzności, złego przełamać nie może, wtedy przychodzi chwila, w której albo nowych sił do dalszej walki nabiera, albo też pod ciosami nieszczęścia ulega.

To samo działo się z Maryą. Ona już doszła do tej fatalnej chwili, w której albo jej siły na nowo obudzić się miały, albo też uledz pod nawałem przeciwności. Czuła się coraz słabszą, nie na duszy, ale na ciele; czuła, że ta walka doprowadzi ją pewno do najpewniejszego portu bezpieczeństwa... do grobu. Śmierci się nie obawiała, owszem dziękowałaby temu, ktoby jej tę przysługę wyświadczył, ale się obawiała przemocy. Na żądanie Michała, który ją codziennie odwiedzał, aby mu swą rękę oddała, odpowiadała gorzkiemi przymówkami, łzami i prośbami, a wreszcie... milczeniem.

Lecz cóż znaczyły łzy u Michała!

Nie na to on ją ma u siebie, aby ją po bezskutecznych naleganiach na wolność puścił. To mu nawet do głowy nie przyszło.

Taki bierny sposób walki jest więcej uciążliwy, aniżeli otwarta, rzeczywista walka. Marya też czuła, że ją siły opuszczają, czuła, że tak dłużej nie wytrzyma, ale cóż pocznie? Chciała umrzeć, ale sama sobie życia odbierać nie mogła. Postanowiła tedy opierać się swemu losowi, póki Bóg albo jej nie zabierze, albo też nadzieja uwolnienia, którą się żywiła, się nie ziści.

Życie ciągle jej upływało w obawie, że Różewski siłą zmusi ją do oddania mu ręki. Powtarzał on jej co dzień, że Adam nie żyje, że poległ w Kijowie, zatem że wolna. Marya w końcu uwierzyła i sądziła, że to prawda. Biedna kobieta kąpała się we łzach swoich, i ustawicznie Boga prosiła, aby i jej dni skrócić raczył. Ale, że pomimo tego z Różewskim się nie połączy, było jej wiernem, mocnem postanowieniem.

Właśnie to był dzień, w którym ów tajemniczy pielgrzym u burgrabiego się pojawił. Dochodziła godzina, o której Michał zwyczajnie do Maryi przychodził. Służebnice się oddaliły, a Marya pozostała sama, oczekując owej nieznośnej chwili, kiedy jej tyran znowu się pokaże. Rzuciła się na siedzenie, twarz rękami zasłoniła, a jednak widać, że płacze, gdyż łzy przeciskają się między jej palcami.

Lekki szmer kroków dał się słyszeć za drzwiami. Marya szybko łzy otarła i twarz ustroiła w obojętność. Zwykle to czyniła przed Michałem od czasu, kiedy ten dał jej do poznania, że go łzy jej zmiękczyć nie potrafią. Drzwi się otworzyły i wszedł... burgrabia, czyli raczej mężczyzna ubrany, jak burgrabia. Marya sądząc, że to Michał, ani w tę stronę nie sporzała. Przybyły zatopił palce w brodzie i o! cudo!... broda mu odpadła.

— Pani! — odrzekł przybyły.

Marya zadrżała. To nie głos Michała, ale dla niej znajomy, pomimo, że właściciela tego głosu przypomnieć sobie nie może. Spojrzała na przybysza, chce coś mówić, nie może, oddech jej w piersiach się zaparł — powstała, lecz nogi tak pod nią się trzęsły, że nie mogąc się na nich utrzymać, znów na siedzenie upadła.

— Czy mnie pani nie poznajesz? — szepnął znowu przybyły.

— Jerzy! ach! to ty Jerzy! — rzekła.

Z wydobyciem głosu ulżyło jej w piersiach, a nawet siły jej powróciły. Zerwała się, z otwartemi rękami biegnie do Jerzego, jakoby do najdroższego przyjaciela. Jerzy w tem momencie zdawał jej się być posłannikiem nieba, przynoszącym jej zbawienie, zdawał jej się być aniołem Stróżem. Krzyknęła więc namiętnie:

— Jerzy! Jerzy! mój wybawco!

— Na miłość Boga, bądź pani spokojna, — rzekł Jerzy przestraszony wykrzyknikiem Maryi. — Jestem wprawdzie tutaj w celu uwolnienia ciebie, ale jeszcze nie koniec. Dopiero o północy sam Adam reszty dokona.

— Mój mąż, mój Adam żyje! wielki Boże! — wykrzyknęła Marya radośnie.

— Bądź pani spokojna, gdyż przez nieostrożność wszystko się popsuć może, zwłaszcza, że Michał wie o powrocie męża.

Tu zbliżył się do jej ucha, coś jej chwilę mówił, a potem szybko się odwrócił, brodę znów na twarz włożył, wyszedł i drzwi za sobą zamknął.

Marya rzuciła się na kolana, ręce wzniosła ku niebu i przez kilka chwil gorąco się modliła:

— Boże mój! nie napróżno poruczyłam się Twojej opiece, a kiedy sądziłam, że się znajduję na samym brzegu przepaści, Ty mój Boże, łaską swoją mnie cofasz. Ufam Tobie, mój Boże, że mnie całkiem z tej toni wydobędziesz, ufam, Boże! że nie pozwolisz, aby niewinność miała być pognębioną... o nie! Boże! Tyś dobry, Tyś łaskawy, Ty się ulitujesz nad słabą, biedną kobietą, która Cię gorąco o pomoc i o łaskę błaga. Tyś mi zachował mego męża, Ty też pozwolisz, abym mu mogła gorzkie jego życie osłodzić. O Boże, ulituj się nademną...

Tak daleko modliła się głośno, głos jej stawał się coraz słabszym, aż wreszcie w szmer się lekki zamienił. Nie słychać głosu, tylko widać oczy wzniesione ku niebu i poruszanie ust — a musiała być modlitwa serdeczna, gorąca, bo nawet Marya nie słyszała, jak się drzwi otworzyły, i jak Michał Różewski wszedł do pokoju.

Byłto mężczyzna około trzydziestu kilku lat mieć mogący, miernego wzrostu, barczysty. Gęste kędzierzawe włosy spadały mu na twarz śniadą z wydętemi policzkami. Miał na sobie krótki, oliwkowy żupan, a na nim okrycie z bogatej materyi, spięte pod szyją dyamentową klamrą. Na głowie kołpak, ozdobny drogiemi kamieniami i chwiejącem się czaplem piórem. Nogi sterczały w szerokich hajdawerach, a stopy były pokryte żółtemi butami znacznych rozmiarów. Przy boku miał długi, szeroki miecz. — Cały obraz jego czynił niemiłe, a zarazem i śmieszne wrażenie.

Widząc Maryą klęczącą, nie śmiał jej przeszkodzić, tylko milczący pozostał przy drzwiach.

Modlitwa, jest coś tak pięknego, tak wzniosłego, że i niedowiarek, człowiek najgorszych obyczajów nie śmie jej przerywać. Michał stanął, wlepił w Maryą oczy i czekał, aż skończy swą rozmowę z Bogiem. Powstała wreszcie. Spojrzał Michał na nią, lecz jej ani nie poznał. Nie była to ta sama Marya, która wyglądała jak lilia, pozbawiona wśród lata dobroczynnej wilgoci, — nie! ta Marya, którą dziś zobaczył, była to kobietą z twarzą wypogodzoną, napiętnowaną jakiemś energicznem postanowieniem. Owo postanowienie tak żywo jej się na twarzy odmalowało, że Michał, lubo był tępego umysłu, od razu to spostrzegł. Osłupiał, stał chwilę milczący . . nawet oczom nie wierzył, bo Marya siliła się nawet na uśmiech. Marya rzuciła się tej chwili na siedzenie i łagodnie na Michała spojrzała, czem Michał ośmielony, bliżej przystąpił i odezwał się, jak mógł, najczulej:

— Modliłaś się Maryo!

Pomimo, że Michał starał się głos swój jak najbardziej umilić, jednakże głos jego był podobniejszy do złowieszczego, aniżeli do czułego głosu.

— Tak jest modliłam się, — odrzekła Marya po niejakiem wachaniu.

— Musiałaś być bardzo w modlitwie zatopiona, kiedyś ani mego wejścia nie spostrzegła. Radbym wiedział, o co się tak gorąco modliłaś,

— Pytasz się, o co się modlę, a stósunki moje znasz, wiesz, czego mi potrzeba. Ale jeśli chcesz wiedzieć, o co się dziś modliłam, to słuchaj. Przedewszystkiem o zbawienie mego męża, a potem prosiłam Boga, aby mnie natchnął, jak mam względem ciebie postępować.

Michał spojrzał na nią... tak dobrą jeszcze jej nie widział, nawet nie dosłyszał, raczej nie zrozumiał przycisku, który na słowie zbawienie położyła; nie spostrzegł wachania się przy ostatnich wyrazach; on tylko słuchał, a serce zabiło mu w piersiach gwałtownie.

— I jak cię niebiosa natchnęły? — zapytał z widoczną niecierpliwością.

— Nie mam potrzeby ci tego wyjawiać, a zresztą zbrodnia twoja tak wielka, że ci nawet zabronić powinnam pokazywać mi się na oczy. Ty i tego wart nie jesteś, bo czemuż mnie więzisz? czemuż mi wolność odbierasz? Czemuż mi powiadasz o śmierci męża, a tymczasem...

Biedna Marya powiedziała więcej, jak tego była potrzeba. Czyż ona mu zawsze nie zabraniała przychodzić? Czyż Michał troszczył się wiele o jej zakaz? Niedługo byłaby zdradziła, że wie o powrocie Adama! Szczęściem Michał tego nie pojął. Padł przed nią na kolana i namiętnie wykrzyknął:

— Maryo! czyż raz już poprzestaniesz twych gorzkich wyrzutów? Wiesz, że tylko wiedziony niepochamowaną żądzą posiadania ciebie, na ten krok się ośmieliłem. O! wybacz mi to, droga Maryo! zapomnij o przeszłości. Nie uważaj we mnie twego dręczyciela, lecz uważaj we mnie sługę twego, który za jeden przychylny wyraz, za jeden życzliwy uśmiech, na klęczkach twoje rozkazy wypełniać gotów. Ja cię więżę? mówisz? O Maryo! powiedz tylko, chcesz tu być panią? — tylko jedno słowo, a cały zamek stanie na twe rozkazy... Maryo! czyż mogę mieć nadzieję? czy spełnisz raz me najgorętsze życzenia?

Marya milczy.

— Cóż znaczy to milczenie? Mów raczej że mi wolno mieć nadzieję, podźwignij strapioną duszę, wlej we mnie nowe życie.

Marya milczy.

Michał wciąż na kolanach, złożył ręce jak do modlitwy, wlepił w nią swe oczy i chwilę oczekiwał odpowiedzi.

Lecz Marya upornie milczała.

— Maryo! — rzekł Michał żałośnie, jakby z wyrzutem, — milszy mi był twój gniew, aniżeli to uporczywe milczenie. Zlituj się Maryo! zlituj się nademną, nie zostawiaj w rozpaczliwej niepewności tego, który cię tak kocha...

Pani Kostrzewska ręką zasłoniła oczy i wcale nie słyszała, co jej Michał mówił — jej myśli były wcale w innej stronie. Michałowi się zdawało, że Marya się wacha w odpowiedzi. Nagle się podniosła i drżącem głosem rzekła:

— Raz się musi skończyć... Michale, chcesz mej stałej odpowiedzi? Jeśli ta odpowiedź ma być pomyślną dla ciebie, to mnie teraz opuść, a przyjdź za dwie godziny — chcę zostać sama.

To mówiąc, jakby się była wielce wysiliła, padła bezwładnie na siedzenie, a łzy strumieniem popłynęły jej po licu. Michał nie posiadając się z radości, zawołał:

— Maryo! mam ja sobie z twego rozkazu szczęście wróżyć?

— Będę się modliła, a wtedy... Niedokoń-

czyła, bo Michał skoczył jak szalony, schwycił jej białą rękę i serdecznie począł całować. Marya mu lekko rękę usunęła.

— Idę więc, kiedy tego żądasz, — rzekł Michał, a twarz jaśniała mu radością. — Nie badam cię nawet, czemu mi ten rozkaz dajesz, tylko go spełniam.

Tu szybko pobiegł ku drzwiom i wnet za niemi zniknął. Skoro się drzwi za nim zamknęły, upadła Marya na kolana, a zalawszy się łzami, tak się modliła:

— Boże mój, Ty mi darujesz moje przewinienie. Ty wiesz, co mnie do tego powoduje, Ty znasz tajniki serca mojego, Ty znasz położenie moje. Przebacz mi, że się oblekłam w obłudę. Ty Boże nie lubisz obłudnych, ale tej obłudy los mego męża i moje własne ocalenie wymaga. O! jakbym rada chciała ową rózgę odwrócić, która nad tym zamkiem wisi! Ale o Boże, Ty wszystkiem rządzisz, Ty także będziesz losami naszemi i dzisiaj kierował. Proszę Cię, Stwórco i Panie mój, przebacz mi moją obłudę. Przebacz, o Boże! przebacz!

I pewno jej Bóg przebaczy! Marya padła krzyżem, gotując się modlitwą do tak ważnej chwili, która niedługo, może za godzinę, a może i jeszcze rychlej, stanowić miała o losie jej męża, a mianowicie o losie jej samej. I to jej nie było tajnem, że w razie niepowodzenia, śmierć jej z ręki Michała byłaby niechybną, a co gorsza może nawet w oczach jej męża padłaby pod mieczem Michała.

Z drugiej strony trzeba było jej się mocno zachartować na rolę, którą miała za przybyciem Michała odegrać. Jedno słówko, jedno podejrzenie nawet cień podejrzenia, mogłoby całą wyprawę zniweczyć.

Słusznie więc z wielką pobożnością wzywała łaski i opieki Boga.

*

* *

Jerzy na uwiadomienie burgrabiego, że Różewskiemu powrót Adama nie jest już tajnym, zapewne mniejszego nabrał rumieńca. Nie można się też bynajmniej dziwić, że na moment się zapomniał, tak że burgrabiemu dał powód do podejrzywania, ażali on czasem nie jest wysłanym szpiegiem. Lecz poważna broda i szata pielgrzymia, oraz różne powieści o Ziemi Świętej, które Jerzy burgrabiemu opowiadał, zagłuszyły w starcu wszelkie podejrzywania. Jerzy też udał, ze swej strony znowu jak najzimniejszą obojętność. Po niejakim czasie spytał Jerzy burgrabiego.

— Nie zawoła was już dzisiaj Różewski?

— Dzisiaj już nie, — odpowiedział burgrabia, a wtedy o wszystkiem zapomni, a gdyby wreszcie miał jaki rozkaz dla mnie, to mi go przyśle.

— Czyż wy sami tu mieszkacie, zapytał znowu, — nie ma tu nikogo więcej?

— Nie ma. Jestem wdowcem, dzieci nie mam — jestem więc sam na świecie, jak kołek. Z nikim też nie obcuję, bo ja do nikogo nie chodzę, ani też nikt do mnie. Głos mnie nawet ludzki nie dochodzi, bo mury za grube.

Jerzy jakby się naocznie chciał przekonać o prawdzie, powstał, przystąpił do okna: cisza na około. Czas! pomyślał sobie Jerzy w duchu, — poszedł do drzwi i zasuwkę zasunął. Ów pielgrzym zgarbiony nagle się wyprostował, a przystąpiwszy do burgrabiego zdumiałego, rzekł mocnym, pewnym głosem:

— Dziś będzie napad na ten zamek!...

Burgrabia, jak ukropem rażony, zerwał się z siedzenia, lecz w tej chwili puginał Jerzego zabłysnął mu przed oczyma.

— Starcze! — rzekł Jerzy — jesteś w ręku mocniejszego, opór twój będzie bezsilny. Waleczność twoja jest mi dobrze znana, ale w tej chwili na nic się nie przyda. Przyszedłem tutaj w celu, w jakim? — to się już pewno domyślasz. Postanowiłem sobie, żeś ty pierwszy miał paść ofiarą. Serdeczne twe przyjęcie sprawiło jednak, że zostaniesz przy życiu, ale pojmiesz że cię wolno puścić nie mogę, gdyż bym się pewno na największego dudka wystawił. Pozwól więc, że cię nieszkodliwym tylko uczynię.

Wymawiając Jerzy te słowa, zacisnął usta burgrabiemu i po krótkim pasowaniu się złożył go zakneblowanego w komórce, gdzie go też zamknął.

Jerzy zdjął teraz szaty pielgrzyma, a oblekł się w szaty burgrabiego; potem wydobył z torby czarną brodę, przyprawił ją sobie w miejsce siwej, a przez to był całkiem do burgrabiego podobnym. Wziąwszy klucze od bramy, nie mógł się pochamować, aby nie wydać okrzyku radości. Zaraz wybiegł i udał się do Maryi, gdzieśmy go już widzieli. Jerzy nie wrócił do mieszkania burgrabiego, bo się obawiał, aby tam kto nie przyszedł, przez co mógłby się łatwo zdradzić! Rozpoczął więc rekognoskowanie miejsca i roz-

kładu sił po zamku. Oglądał grubość muru, przekonywał się. gdzie najsłabsze miejsca.

Było już około jednastej godziny, gdy do bramy dochodził. Łucznik na straży będący, spostrzegłszy go, a myśląc, że to sam burgrabia, rzecze:

— Coś się dziś nie dobrze święci kiedy wy tak czujni jesteście, aż wam się o tym czasie chce tłuc po dworze. Tam za murami pono też nie po zwyczajnemu wygląda, a ja sam słyszałem tętent koni.

— Podróżni, — rzekł Jerzy półgłosem, grzebiąc palcem na podniebieniu, aby głos odmienić, a tem samem się nie zdradzić.

— Może i to być, że podróżni, — dodał łucznik z lekceważeniem — a niechby to i te djabły Kostrzewiaki byli, to niech mnie piorun spali, jeśli ich się choć trochę obawiam. Oj! niechby się no pokazali, to ja im już poślę powitanie, że ten, którego powitam, pewno zęby w ziemię wbije, — dodał potrząsając łukiem.

Jerzy nic na to nie mówił aby się głosem nie zdradzić.

Tymczasem doszli do bramy. Po lewej stronie przytykała do muru mała budka dla strażnika. Czatowało bowiem zawsze dwóch strażników, z tych jeden krążył bezustannie na dziedzińcu, koło bramy, miał w ogóle baczność na we wnątrz a drugi strażnik zawsze stał w budce. Z budki wychodziło małe okienko w murze wybite, mocno okratowane, dozwalające wszystko widzieć, co się zewnątrz murów działo.

Głównem zadaniem Jerzego teraz było uprzątnienie owych dwóch strażników. Nie było to atoli rzeczą łatwą, bo on teraz nie miał przed sobą słabego starca, zamkniętego pomiędzy grubemi murami, ale miał dwóch silnych, młodych ludzi, a do tego jeszcze na otwartym dziedzińcu. Wprawdzie ciemność nocy sprzyjała bardzo Jerzemu. Niebo pokryło się chmurami, wiatr szumiał przeraźliwie, jezioro z hałasem rozbijało wały o mury zamkowe — ale pomimo tego, gdyby który z łuczników zakrzyknął, straż wzdłuż zamku ustawiona pewnoby się chciała o przyczynie krzyku dowiedzieć. Jeszcze mieli do bramy, czyli raczej do budki, około dwadzieścia kroków, kiedy Jerzy dobywszy puginału, zbliżył się nieznacznie do łucznika i nim ten się spostrzegł, pchnął go tak silnie, aż puginał o żebro zaskrzypiał. Raz był dobrze wymierzony i puginał utkwił w sercu łucznika, tak, że nieszczęśliwy łucznik nie miał już siły głosu wydać. Skonał biedak natychmiast, nie wydawszy nawet jęku. Pochwycił teraz Jerzy trupa, usadził przy murze około bramy, tak że twarz miał zwróconą na dziedziniec.

Dokonawszy tego wszedł śmiało do budki, w której drugi strażnik się znajdował. W budce było zupełnie ciemno, aby tem lepiej można widzieć na zewnątrz. Strażnik stał przy oknie. Wchodzącego Jerzego wziął strażnik za swego towarzysza, a nie odwracając się nawet, rzekł:

— Jacyś ludzie tu się kręcą, a nawet coś tam na drzewie rozwiesili niby suknię, niby płachtę. Wielką mam ochotę z jednę strzałę posłać do nich na zwiady. Muszę o tem donieść burgrabiemu; zresztą trzeba mu przypomnieć, aby most podniósł, bo przecież to już późno. Ot zostań tu na chwilę, a ja pójdę do burgrabiego, — rzekł odwracając się, a poznawszy w Jerzym burgrabiego dodał; — a! to wy... no! tem lepiej, przypatrzcie no się sami, co się tam dzieje!

Na te słowa zbliżył się Jerzy do okienka i popatrzył na te dziwy, o których mu strażnik opowiadał. Strażnikowi wpatrywanie się Jerzego trwało cokolwiek za długo; nie mógł wreszcie pochamować własnej ciekawości, przybliżył swe oczy do okienka i wpatrzył się w ów nieznany mu przedmiot. Tego też tylko Jerzy oczekiwał, gdyż w chwili, kiedy się strażnik pochylił, pchnął go puginałem... cios dobrze wymierzony uśmiercił biedaka na miejscu. Trupa pchnął Jerzy pod ścianę, a wziąwszy jednę strzałę, pobiegł czemprędzej do mieszkania burgrabiego. Tu siadł przy stole, na strzale przyniesionej zrobił jakieś znaki, a potem zbiegł znowu prędko na dół, udał się do budki i wziąwszy łuk zabitego łucznika, naciągnął go... i strzała furknęła ku wywieszonej sukni. Przez chwilę stał nieruchomy, wpatrując się w przedmiot, który mu za cel posłużył. Po kilku chwilach przedmiot ów się zachwiał od strzały, a potem wyskoczył w górę i wnet zniknął.

— Dotąd wszystko bardzo gładko poszło, — rzekł sam do siebie Jerzy, — zamek już prawie nasz; ha! ręka Bozka snadź cięży nad bezbożnym porywcą!

To mówiąc wyszedł z budki, a potem zwrócił kroki swoje do pawilonu, który Marya zamieszkiwała. Okna jaśniały rzęsistem światłem. Już zdala można było dosłyszeć chrapowaty głos

Michała, który się już teraz znajdował u Maryi. Jerzy przystanął, spojrzał na okna i rzekł sam do siebie:

— Baw się, baw! dumny drabie! bo niewiele czasu ci jeszcze zbywa! Może to twa ostatnia uciecha. Za chwilę zrobimy my tobie uciechę, która ci na twe całe grzeszne życie utkwi w pamięci. A chwila ta prędzej nastanie, niż ty się spodziewasz. Więc baw się, a wesoło!...

Rozśmiał się na to, tak głośno i złowrogo, że się sam przeląkł swej nieroztropności i coprędzej na bok uskoczył, gdyż w oknie ukazała mu się postać Michała. Michał chwilę popatrzył — a potem cofnął się od okna.

Ochłonął cokolwiek Jerzy, postanowił być ostróżniejszym, potem odbył raz jeszcze przegląd łuczników będących pod murami. Łucznicy nie mogąc byćod burgrabiego uwiadomionymi o powrocie Kostrzewskiego, nie spodziewali się żadnego napadu, ani nawet przez myśl im nie przeszło, żeby im niebezpieczeńswto jakie grozić miało. Oddali się więc sennym marzeniom — rozciągnięci na burkach, chrapali, aż grało; — zapomnieli o straży, zapomnieli o wszystkiem. Jerzy na widok uśpionej straży o mało nie podskoczył z radości. Uśmiechnął się, pogłaskał swą przyprawioną brodę i rzekł z wewnętrznem zadowolnieniem:

— Snadź sam Bóg wyprawa dzisiejszą kieruje, aby ukarać występnych zbrodniarzy. Brama wolna, klucze mam w ręku, straż przy bramie zasnęła snem wiecznym, a straż przy murze śpi snem doczesnym, Marya wie o wszystkiem... ha! to ręka Bozka mi w tem dopomogła. O! wy zczerniałe, wyniosłe mury — nim kur trzy razy zapieje, z was tylko zostanie kupa gruzu!... Żal mi tych niewinnych ludzi, którzy za zbrodnie swego pana życie pewno położą... Już dwóch... ha! Michale, ty przed Bogiem za to odpowiesz, na twojem sumieniu odpowiedzialność za dzień dzisiejszy ciężyć będzie!

Mury były grube, fosa głęboką, załoga silna i dobrze uzbrojona: wiedział więc Jerzy bardzo wyraźnie, że byłoby bardzo trudno czegoś siłą i wstępnym bojem dokazać. Możnaby było naturalnie Różewo i siłą zdobyć, zburzyć, ale cóżby się było przez ten czas z Maryą stało? Czyżby Michał przywiedziony do wściekłości, nie był się na Maryi zemścił? Zależało więc na tem wszystko, aby zamek nagle, niespodzianie rozbroić.

Że usiłowania Jerzego tak pomyślny obrót wzięły, można było na pewno rachować, że i reszty dokona się pomyślnie. Obejrzał się Jerzy raz jeszcze; — wszystkie światła, oprócz w komnacie Maryi, pogasły. Zamek był uśpiony, a tem samem na wpół rozbrojony.

— O! jakem dumny, — rzekł Jerzy sam do siebie, — że prawie sam jeden całe Różewo zwalczyłem! Lecz otóż i północ... czas rozpocząć... w imię Boga do ostatecznego dzieła!...

ROZDZIAŁ. II.

Wieczór się zbliżał.

Na dziedzińcu Kostrzewa było już od samego południa rojno i gwarno. Czeladź poi konie; — owi ostrzą miecze, topory, inni poprawiają cięciwy, inni znów napełniają kołczany. Skoro ostatnie promienie słoneczne zagasły na wieży zamkowej, wyprowadzono konie i do stoczterdziestu dorodnych młodzieńców zbrojnych w łuki, miecze i topory, dosiadło rumaków. Skirmunt na przedzie, daje rozkazy, formuje w szeregi... starzec wspomniał młode lata i odmłodniał. Na twarzy rumieniec wystąpił mu na policzki. siwa broda wiewała z wiatrem na opancerzonej piersi, a dawniej drżąca ręka, dziś krzepkó ujęła rękojeść miejsca.

Rycerze gotowi, czekają tylko na wodza na Adama. Ukazał się wreszcie. Czarna zbroja okrywała go od stóp do głowy — twarzy nie można było dojrzeć, bo szczelnie zapuszczona przyłbica dozwalała tylko widzieć dwoje żarzących oczu. Pachołek podprowadził konia pod ganek — Adam rzesko dosiadł karego rumaka, dobył miecza, naznaczył nim krzyż w powietrzu, skinął i wnet cała drużyna puściła się cwałem w stronę ku zamkowi Różewskiemu.

Noc już naturę całunem ciemności okryła, kiedy jeźdźcy do lasu o ćwierć mili od Różewa odległego dotarli. Pozsiadano z koni. Skirmunt wybrał dwóch sprawnych młodzieńców, dał im stósowne rozkazy i wysłał ich na czaty. Młodzieńcy w milczeniu podeszli pieszo pod zamek i zatrzymali się w odległości, że ich strzała dojść mogła. Było to wprost naprzeciw bramy. Stało tam małe drzewko na wzgórzu. Na tem drzewku rozwiesił jeden z młodzieńców burkę, poczem obaj ukryli się po za wzgórzem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

ZŁOTY KOŁOWROTEK.

(Ciąg dalszy.)

Chłopiec pobiegł z oczami do lasu, wszedł do jaskini, oddał je starcowi i odszedł. Tenże udał się z niemi do Dobroty i wsadził je lekko w ich jamy. Dobrota tej chwili przewidziała. Ujrzała starca przed sobą, którego biała broda spadała aż po za piersi. Szara suknia okrywała jego wysoką postać od nóg aż do głowy. Ostatnie promienie zachodzącego słońca spadały przez ciasny wchód jaskini na jego poważne i miłe oblicze i oblewały je różowym blaskiem. Dobrocie się zdawało, jakoby sam Bóg stał przed nią.

— Jakże — rzekła, — o świątobliwy mężu, będę w stanie odpłacić ci za miłość twoją? Ach gdybym przynajmniej ręce twoje ucałować mogła!

— Bądź spokojną, — przerwał jej starzec i oczekuj końca w milczeniu!

Potem się oddalił i przyniósł Dobrocie na drewnianym talerzu smacznego owocu, który postawił na jej posłaniu z wonnego liścia i mchu; dalej poszukał wonnych jagód i jak troskliwa matka swe dzieci, tak on karmił Dobrotę. Nakoniec zasilił ją wodą z drewnianego kubka.

Drugiego dnia bardzo rano stał starzec znowu przed jaskinią i wołał na chłopca. Gdy tenże przybiegł dał mu złote wrzeciono i rzekł:

— Z tem wrzecionem pójdziesz znowu do książęcego zamku i usiędziesz przy bramie; a gdy ci się zapytają ile za nie żądasz, odpowiesz: Dwie nogi — i nie dasz go nikomu, póki ci dwóch nóg nie przyniesie.

Chłopiec poszedł z wrzecionem, a starzec powrócił do jaskini. Złoboga stała w oknie i spoglądała na dziedziniec właśnie gdy się chłopiec z wrzecionem pokazał. Ujrzawszy go, pobiegła natychmiast do matki i rzekła:

— Pójdźcie i patrzcie! Przy bramie znowu siedzi ów chłopiec i ma prześliczne wrzeciono!

Udały się do niego.

— Ile żądasz za to wrzeciono? zapytała chłopca Złoboga.

— Dwie nogi, pani!

— Dwie nogi?

— Tak jest.

— Powiedzże co twój ojciec z tem robi?

— Tego wam powiedzieć nie mogę, bo się ojca nigdy nie pytam. Co rozkazuje, to czynię, i tak wam wrzeciona za nic innego oddać nie mogę jak za dwie nogi.

— Słuchajcie, matko, ponieważ mam kołowrotek, przeto wypadałoby, iżbym i wrzeciono miała. Schowałyśmy Dobroty nogi: czyż mu ich nie dać za nie? Wszakże nam jeszcze ręce pozostaną!

— Czyń co ci się podoba — odpowiedziała matka.

Złoboga przyniosła nogi starannie okryte i dała je chłopcu za wrzeciono. Potem udała się pełna radości do swych pokoi a chłopiec pobiegł do lasu.

Przyszedłszy do jaskini, oddał nogi starcowi i odszedł. Tenże udał się z niemi do Dobroty i nasmarowawszy maścią jej rany, przyprawił jej nogi, poczem chciała zeskoczyć z posłania, na co starzec nie zezwolił, mówiąc:

— Leż teraz spokojnie, póki całkiem nie wyzdrowiejesz; potem ci pozwolę wstać! Musiała się uspokoić, co też chętnie uczyniła, gdyż była przekonaną, że jej starzec nic złego nie radził..

Trzeciego dnia bardzo rano zawołał starzec chłopca, dał mu złotą prząślicę i rzekł: — Zanieś i tę prząślicę na sprzedaż do zamku książęcego, a jeśli cię zapyta kto, ile za nią żądasz, powiedz: Dwoje rąk. Kto ci da dwoje rąk, temu daj prząślicę.

Gdy chłopiec z prząślicą przybył do zamku i pod bramą usiadł, przybyła do niego Złobo-

ga, która się właśnie z matką po dziedzińcu przechadzała.

— Ile żądasz za te przęślicę, chłopcze — zapytała go.

— Dwoje rąk, pani!

— To rzecz dziwna, że nic za pieniądze nie sprzedajesz!

— Nie mogę inaczej, wysoka pani, tylko tak, jak mi rozkazano.

Złoboga zaczęła się wachać. Lecz przęślica była prześliczna i bardzoby ją chętnie była do kołowrotka kupiła, by się nim chełpić. Niepokoiło ją to tylko, że dwoje rąk za nię dać miała, i że jej potem już nic po Dobrocie nie pozostanie.

— Powiedzcież mi, matko, czy muszę ja koniecznie coś mieć po Dobrocie, by mnie książę tak kochał jak ją?

— Lepiej by było — rzekła matka, gdybyś coś zatrzymała; jam przynajmniej zawsze słyszała, że to dobry sposób, by zachować dla siebie miłość małżonka. Lecz jeżeli o mnie chodzi, to rób co ci się podoba. Złoboga po chwili namysłu, zwiedziona zaufaniem do swej piękności, pobiegła po ręce i dała je chłopcu. Przęślica, na której len połyskał cienszy od jedwabiu czerwoną wstążką owinięta, z szczerego była złota. Uradowana bardzo z tak przepysznego sprzętu, poszła przystawić go do kołowrotka i wrzeciona; matka zaś pokręcała głową, bo próżność córki gniewała ją.

Chłopiec tymczasem powrócił, a oddawszy starcowi ręce, zniknął. Ten poszedł z niemi do Dobroty, i posmarowawszy jej rany jak dnia poprzedniego, przyprawił ręce do jej ciała. Zaledwo Dobrota ruszyć mogła rękoma, już dłużej na posłaniu utrzymać się nie dała. Zerwawszy się, upadła do nóg starcowi i całowała jego ręce, które jej tyle dobrego wyświadczyły.

— Tysiączne dzięki tobie, mój dobroczyńco! — zawołała z łzami radości. Wywdzięczyć ci się nigdy nie mogę; lecz żądaj odemnie czego chcesz, a chociaż by to najtrudniejszem było, chętnie wszystko dla ciebie uczynię.

— Niczego od ciebie nie żądam, córko! odrzekł starzec i podniósł ją lekko z ziemi. Com dla ciebie uczynił, byłbym dla każdego innego uczynił; taki mój obowiązek. Teraz pozostań tu, póki kto po ciebie nie przyjdzie! O pokarm się nie troszcz, ja ci go przyślę.

(Dokończenie nastąpi.)

KLARA
CZYLI
ZWYCIĘZTWO CNOTY.
POWIEŚĆ.

NAPISAŁ

X. KANONIK SZMID.

(Ciąg dalszy.)

Pierwsze co ujrzała przyszedłszy do siebie, była twarz jej wybawcy, który wraz z dwoma ludźmi, co się sługami jego być zdawali, zajęty był trzeźwieniem jej z długiego omdlenia. Opodal leżał zwierz, z którego kudłatej piersi płynęła struga krwi czarnej. Wszyscy trzej mężczyzni ucieszyli się bardzo, gdy Klara oczy otworzyła. Rudolf, szczególny jej wybawca, mienił się najszczęśliwszym w świecie, iż mógł jej życie ocalić.

Ci ludzie udali się byli do lasu, by wytropic

wilka, którego od niejakiego czasu widywano w okolicy. Waleczny młodzieniec, uzbrojony w łuk i strzały, stał ukryty za drzewem, niedaleko od miejsca gdzie Klara upadła zemdlona. Widział, jak zwierz ścigał dziewicę, a niewachając się ani przez chwilę, rzucił się pomiędzy nią i wilka, i ubił go z niebezpieczeństwem własnego życia. Tego dorozumiała się Klara z słów drugich dwóch mężczyzn, którzy chwaląc jego waleczność, robili mu łagodne wyrzuty, iż tak swem życiem szafuje. Młodzieniec zaś dziękował Bogu, że mu dał sposobność i odwagę do spełnienia tego czynu.

Blada jak śmierć Klara nie mogła wyrzec słowa, a wdzięczność jej odbijała się tylko łzawem spojrzeniem. Drżąca i słaba, zaledwo naprzód postępować mogła. Rudolf podał jej rękę, ofiarując się odprowadzić ją do matki, i rozkazał swym ludziom iść za sobą. Przestrach, radość i wdzięczność matki, gdy się dowiedziała o tej przygodzie, były niewymowne.

Klara ochłonęła wkrótce z swego przestraszenia. Jednakże baczne oko matki spostrzegło niebawem, iż od owej przygody zaszła jakaś zmiana w umyśle jej córki. Klara nie była już tak wesołą i swobodną jak dawniej. Była milczącą i szukała samotności. Często rozmawiając z matką, była roztargnioną i niestósowne dawała odpowiedzi na jej zapytania. Lica jej bladły, a oko często było łzą zwilżone.

O kilkaset kroków od pomieszkania Kunegundy, wytryskał wśród ciemnej groty zdrój świeży, który przed dawnemi czasy wilczą studnią, a później zdrojem Maryi nazywano. Wązka ścieszka z poręczami, łącząca dwie skały, pomiędzy któremi bezdenna rozciągała się przepaść, prowadziła dotąd. Ta grota podobną była do kaplicy utworzonej przez naturę. Chłodna, czysta krynica wytryskiwała z skały z marmuru i spadała w wydrążenie marmurowe. Kilka pięknie ociosanych kamieni służyło za siedzenie znużonym wędrowcom. Po nad źródłem był umieszczony obraz Najświętszej Panny, trzymającej na łonie swą Bozką dziecinę. Przeczysta dziecina w pąsowej sukni i szafirowym płaszczu opierała głowę o skroń dziecięcia, które zdawało się uśmiechać do każdego, co nań spojrzał. Kto nie był wyzuty z wszelkiego uczucia pobożności, nie mógł bez głębokiego wzruszenia spoglądać na ten obraz. Wchód do tej groty ocieniały dwa rozłożyste jawory. Ustawiczne mruczenie strumyka, szelest wietrzyka wśród liścia jaworów, mrok bladawy, który tam panował, czyniły to miejsce nadzwyczaj przyjemnem, a nawet w największe upały znajdowało się tam chłód i orzeźwienie. Siedząc ponad źródłem, można było przez szeroki wchód do groty spoglądać w daleką okolicę, na przeciwległe góry i doliny, które śliczny przedstawiały widok, szczególnie gdy ich rozmaite odcienia zieloności, ich ciemne skały, malownicze łomy kamieni, porozrzucane chaty pasterskie i pnące się po górach kozy, promieńmi zachodzącego słońca ozłocone były.

Klara chodziła tu nietylko po wodę, lecz dzieckiem jeszcze będąc, spędzała tu nie jedną błogą chwilę na modlitwie pobożnej w tych miejscach, i z dziecięcą radością wieńczyła obraz Matki Bozkiej w wieńce z kwiatków ze swego ogródka. I teraz jako dziewica spędzała tu niejedną chwilę na pobożnem rozmyślaniu, lecz od owej przygody w lesie częściej przybywała do groty.

Pewnego razu znów siedziała nad źródłem, i z opartą twarzą na dłoni przypatrywała się szybkiemu biegu strumyka, który mrucząc po opleśniałych kamykach, dążył z groty ku dolinie. Gdy oczy podniosła, ujrzała swą matkę stojącą przed sobą. Klara zmieszana starała się ukryć łzy swoje. Lecz czuła matka przycisnęła ją do serca i rzekła:

— Najdroższa Klaro, nie ukrywaj łez twych przed matką. O! powiedz mi raczej, dla czego je wylewasz? dla czego lica twe tak blade? Jakiż kłopot gnębi serce twoje? Dla czego oko twe unika mego spojrzenia? Nie jestemże ja twoją kochającą cię matką? Czyż ty nie jesteś moim najdroższym skarbem na ziemi? Wszakże twe szczęście jest jedynem mojem życzeniem na świecie? Przez cóż zasłużyłam sobie na twą nieufność? Zwierz się twej matce, droga moja, jedyna Klaro.

Klara spojrzała na matkę łzawem okiem, westchnęła i wybuchła głośnym płaczem.

— Ty milczysz, mówiła Kunegunda z rozrzewnieniem. O, nie taj nic przed matką, która czyta w twojej duszy. Zgaduję ja, co cięży ci na sercu. Nieprawdaż? jest to wspomnienie owego młodziana, który ci życie ocalił? Jego obraz zajmuje całą twą duszę. Rozumiesz, iż bez niego nie możesz szczęśliwą być na świecie. Coś z początku wdzięcznością tylko mieniła, stało się z czasem miłością. Czy nie tak, luba Klaro?

— Tak, droga matko, rzekła Klara z westchnieniem, a żywy rumieniec wystąpił na jej lica. Zdawało jej się, jakoby ją płomienie ogarnęły, i ukryła swą głowę na łonie makti.

— O, rzekła po chwili milczenia, przebacz,

droga matko, słabej dziewczynie; ja sama nie wiem, jak się to stało.

Matka przycisnęła swą córkę z większą jeszcze rzewnością do łona, i rosząc łzami jej jasne włosów pierścienie, mówiła dalej: „Nieprawdaż droga Klaro, wszak ty mi wierzysz, iż nie pragnę nic w świecie innego, jak twego szczęścia, i wszelkich rozkoszy ziemskich przysporzyćbym ci chciała. Nie przeczę, że istnieje czysta, nieskażona miłość na świecie. Łatwo ją także rozróżnić od tej gwałtownej namiętności, którą zepsuci ludzie także miłością nazywają. Fałszywa, zmysłowa miłość oddala nas od Boga i od wszystkiego dobrego; prawdziwa zaś czyni nas milszemi Bogu, podnosi duszę naszą ku niemu i czyni nas zdolnemi do szlachetnych czynów. Ta czysta miłość, uświęcona nawet przez kościół św. jest iskierką pochodzącą z serca pełnego miłości nieskończonej, Ojca naszego w niebiesiech; tak piękną, jak miłość moja dla ciebie; tak czystą, jak twoje dla mnie przywiązanie. Jest to zaiste piękna, wonna róża; lecz ostremi kolcami otoczona. Więc droga Klaro, życzyłabym ci tę różę, lecz kolce chciałabym usunąć przed tobą. Pod wonnemi kwiaty i zioły ukrywa się często wąż zdradliwy; od tego węża chciałabym cię zabezpieczyć. Nie gardź więc drogie dziecię mą macierzyńską pieczołowitością i słuchaj rad moich.

— O matko, rzekła Klara, już wiele łże mi na sercu, iż odgadłaś to, o czem z tobą mówić nie śmiałam. Prawdę mówisz, iż ten kwiat miłości otoczony kolcami. Uczułam już ich boleść. O doradź mi, co mam uczynić.

— Drogie dziecię, rzekła matka z wzruszeniem. O gdyby to w mojej było mocy spełnić życzenia serca twego. Młodzieniec ten jest wprawdzie rozsądny, szlachetny, pilny w swojem powołaniu, nie zepsutego jeszcze serca...

— Nieprawdaż? przerwała Klara, spoglądając radośnie na matkę.

— I ty, droga Klaro, byłabyś jego godną. Nie wiem czy uczucie macierzyńskiej miłości zaślepia mnie, lecz zdaje mi się, iż mogłabyś uszczęśliwić człowieka, któryby cię obrał za żonę. Lecz wiesz ty, co ten człowiek myśli o tobie?

— Jakto? rzekła matka łagodnie, lecz z widoczną niespokojnością; czyś go już widziała kiedy od owej przygody z wilkiem?

— O nie gniewaj się, droga matko, wyznam ci wszystko, rzekła Klara. Widziałam go, lecz tylko raz jedyny. Gdy raz siedziałam przy łóżku chorej Wandy, wszedł niespodzianie do pokoju. Był on przysłany przez swego ojca z poleceniem do leśniczego.

— I jakże obszedł się z tobą? zapytała się matka.

— Był dla mnie bardzo uprzejmy, odpowiedziała Klara. Ja byłam bardzo nieśmiałą, lecz on zdawał się być jeszcze bardziej, niż ja zmięszany. Małośmy z sobą mówili. Ja wkrótce odeszłam do domu. On towarzyszył mi — lecz tylko małą przestrzeń drogi.

— Czy mówił ci o miłości? o małżeństwie? czy ci czynił jakie przyrzeczenia? pytała matka. (D. c. n.)

TANIE LECZENIE DOMOWE ROZMAITYCH CHORÓB.

(Ciąg dalszy.)

Krwawnik wodny, rośnie w wodzie, smak ma ostry na kształt pieprzu, lub Nosturcyi. To ziele bardzo chwalą lekarze, że na szkorbut jest najskuteczniejsze i służy na gorączkę i na suchoty.

Kaczyniec, rośnie po łąkach, ma liście jakby mąką obsypane; a korzeń goi rany i wrzody, także leczy świerzb.

Lewanda ogrodowa, służy na zawrot głowy, na paraliż, na kurczenie członków. Wino zachowuje od kwasu. Olejku lewandowego kilka kropli wpuszczone w rozczyn, chronią chleb od pleśni.

Lilia biała, ma korzeń do czosnku podobny; ten utarty i w maśle niesłonem lub oliwie usmażony, leczy różę, i podłamane brodawki.

Lubczyk ziele, w wierzchołku żółto kwitnące i pachnące, jest w nasieniu szerokie, i lekkie, smaku ostrego. To ziele w kąpieli otwiera i wzbudza miesięczne.

Łopian, Bardana major, korzeń ugotowany, pomocnym jest na piersi, na febry, i na ukąszenie jadowitej bestyi. Dobry jest też na zagojenie rany od psa wściekłego, z czosnkiem zmięszany. Także odwar z niego, przy dodaniu Carduibenedicti, uwolnia od kołtunów, tak że same spadną.

Macierzanka, Serpillum, ziele i kwiat służy żołądkowi, pomaga na ból i zawrot głowy, a osobliwie na maciczne defekta, i na katar i ciężkie rodzenie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)